

TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 19. Poznań, dnia 7 maja 1870. Rok II.

Milion na poddaszu,

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg.)

XXXII.

Przed wieczorem, nim jeszcze zmierzchać się zaczęło, wszedł znowu Bernard na poddasze. Wszedł tam, bo nigdzie indziéj nie mógł znaleść spokoju, bo wszędzie prześladowały go jakieś widma straszne...

Szambelanowa przyjęła go nadzwyczaj serdecznie, ale jéj twarz była smutna i surowa. Terenia w pierwszéj chwili miała ochotę obsypać go pieszczotami siostry, ale zatrzymała się, tylko z śmiechem powiedziała mu, że była roztargnioną, i że o małoco tak go nie przywitała, iżby go to może zdziwiło!

Potém zaczęła się wykręcać na drobnéj nóżce swojéj i śpiewać, jakby była nader szczęśliwą!

Były to straszne symptomata dla Bernarda! Usiadł w kącie i pogrążył się w myślach.

Do pokoju wszedł teraz podczaszyc. Wszedł wykwintnie wystrojony, z pewną atmosferą ludzi dostatnich, którym nic nie jest niepodobnego na świecie. Jeszcze w progu kończył jakąś aryjkę zaczętą na ulicy.

Przywitanie jego z szambelanową było pełne hołdu i adoracyi dla sędziwéj matrony. Zgiął się na dwoje, całował jéj wyschłą rękę z takim zapałem, jakby to była rączka szesnastoletniéj panny, i znowu się zginał i znowu całował.

Trudno się dziwić takiemu afektowi do téj wyschłéj ręki, bo ta ręka miała wyliczyć... milion!

Z Terenią przywitanie było krótkie, a nawet pobieżne. Tak się witają zazwyczaj ci, co się dopiero widzieli, co sobie już skrajne słowa wzajemnie powiedzieli, których gra była już skończona!

Tak sobie myślał Bernard i targał w rękach jakiś świstek papieru, który leżał na stole...

Przywitanie z Bernardem było może najcharakterystyczniejsze. Przeszedł koło niego i kiwnął trochę głową. Nie był on tutaj już niczém dla niego, a tém mniéj rywalem. Był po prostu biednym aplikantem, któremu z łaski szambelanowa jeść daje, a który nawet za sto złotych odstąpił swój pokoik, który go łączył z mieszkańcami poddasza!...

Wśród rozmowy o rzeczach powszednich, zaczęło się zmierzchać. Elżbieta wstała z pod pieca, aby zaświecić, ale Terenia zaprotestowała przeciw temu, na co szambelanowa zgodziła się.

Księżyc świecił właśnie w pełni na niebie. Siny słup światła wciskał się przez małe okienko na poddasze i oświecał ubogie tam sprzęty w sposób fantastyczny. Z kilku wazoników kwiatów, które stały na oknie, porobił na przeciwległéj ścianie prześliczne festony, które malowniczo zwieszały się od pułapu aż do ziemi. Stojący przy drzwiach stary kredensik opasał do koła rzeźbą fantastyczną, w któréj każdy to widział, co sobie życzył. Daléj na podłodze odbił różne skazy i zagięcia szyb, tworząc z nich najpiękniejszy perski dywan, utkany artystycznie w przepyszne arabeski...

Ubogie poddasze przemienił księżyc dzisiaj w bogatą komnatę i pozwolił biednym mieszkańcom śnić

o szczęściu i rozkoszy bogactw i dostatków... pozwolił upajać się choć w fantazyi tém, czego w rzeczywistości nie było!...

Pomiędzy mieszkańcami tegoż poddasza był może ktoś, komu właśnie podobne złudne obrazy bardzo się podobały, bo odpowiadały może tajemnym marzeniom... Któż może mieć za złe ludziom biednym, gdy marzą o bogactwach... któż poczyta za grzech łaknącym i pragnącym, jeźli marzą o chlebie i wodzie?...

Na małéj sofie siedziała Terenia i patrzała okiem roziskrzoném na te czarnoksięzkie sztuczki złośliwego księżyca. Czy on był dzisiaj w zmowie z kimś, który również wzbudzał w jéj duszy podobne obrazy?...

Nie obojętnie patrzał także na ten przemysł księżyca Bernard. Marzył on także może o bogactwach w téj chwili, ale na to tylko, aby się zrównoważyć z tymi, którzy go tem bogactwem pokonać chcieli...

Nic dziwnego jeźli Terenia niechciała, aby zapalona świeca odebrała jéj to kunsztowne urządzenie komnaty, te prześliczne festony, draperye i arabeski na perskim dywanie!...

— O szaréj godzinie tak miło słuchać cytrę! wyszepnęła z cicha do podczaszyca.

Podczaszyc wziął cytrę do ręki. Pomimo bladego światła księżyca widział Bernard, że oczy Tereni spoczęły z pewną tęsknotą i rozmarzeniem na bladéj twarzy podczaszyca.

Ozwały się drzące, dziwnie wibrujące akordy... Akordy te grały widocznie po sercu Tereni... Szła za niemi duszą i sercem, jakby je podsłuchać i zrozumieć chciała, co one do niéj mówią?...

A one mówiły takie piękne, słodkie rzeczy! Mówiły o roskoszach miłości, o tęsknocie za lubą... pragnęły jéj uścisku i tego jedynego na całe życie słowa, które z ust gorących odrywa się cichym szeptem, niewyraźne a jednak zrozumiane!...

Akordy cichły, a powoli z metalowych strun zaczęła się wydobywać jakaś skarga, czy prośba...

Terenia słuchała w zachwyceniu. Oczy jéj przystygły do bladéj twarzy artysty, który wzajem wzrokiem uzupełniał to, co było w tonach cytry nie zrozumiałém...

Bernard nie mógł dłużéj tutaj pozostać. Przejmował go wskroś ból tak straszny, że łzy cisnęły mu się do oczu. Widział jasno, że serce Tereni odwróciło się od niego...

Niechciał czekać aż zaświecona świeca okaże jego twarz skurczoną z bolu a może i łzy w oczach, niechciał aby tryumf jego przeciwnika był tak widoczny... miał on tyle dumy, aby nie okazać cierpień swoich... Wstał z krzesła.

— Czy aspan masz jaką pilną robotę? zapytała szambelanowa, któréj twarz była dzisiaj nadzwyczaj surowa.

— Tak jest, odparł Bernard, popełniając kłamstwo dzisiaj poraz drugi, i biorąc rękę szambelanowéj do pocałowania.

Zdaje się, że szambelanowa zobaczyła przy blasku księżyca łzy w jego oczach, bo długo trzymała jego rękę a potém serdecznie ją uścisnęła. Terenia pożegnała go prawie obojętnie — bo artysta nie przerywał gry na cytrze.

Po wyjściu Bernarda patrzała szambelanowa jakiś czas na Terenię z chmurą na czole, potém rzekła:

— Panno Elżbieto zaświecić świecą! Zmarnowaliśmy trochę czasu na bezużyteczne marzenia, teraz pomyślmy o smutnéj rzeczywistości... Tereniu, wyjmij z teki ten obrazek, o którym wczoraj mówiłam.

Elżbieta właśnie stawiała świecę na stole, gdy rozmarzona Terenia ostatnie słowa babuni usłyszała. Jéj twarz zmieniła się nagle, a oczy zwróciły się z jakąś niemą prośbą do szambelanowéj.

Szambelanowa miała w téj chwili twarz tak surową, że Terenia nie spodziewała się żadnéj łaski. Małe dwie łezki drżały pod jéj jedwabnemi rzęsami, gdy wspomniony obrazek z teki dobywała.

— Widzisz waćpan, ozwała się szambelanowa do podczaszyca, który ciekawie na tę scenę patrzał, Terenia przywiązuje się do prac swoich i za każdym obrazkiem, który wychodzi z jéj teki, płacze. Ale cóż płacz pomoże, gdy ludzie są biedni? Zamiast szycia, kazałam ją uczyć rysunku, bo ten talent więcéj popłaca. Od czasu do czasu sprzeda się jaki obrazek i zarobi się więcéj na życie, niżeli szwaczka zarobić może. Pan Bernard sprzedał już kilka takich obrazków po sto złotych za sztukę. Spodziewam się, że i waćpan w swoim wielkim świecie znajdziesz amatora, który za ten obrazek da przynajmniéj dwieście złotych. Jest on dwa razy większy od tamtych, dwa razy więcéj farby wyszło!

Po grze na cytrze i téj fantasmagoryi księżyca, było to wiadro zimnéj wody dla podczaszyca.

Terenia patrzała na niego wzrokiem błagalnym, aby jéj darował — ubóstwo! Ale podczaszyc nie mógł zrozumieć tego wzroku, bo historya ze sprzedążą obrazka na jutrzejszy kawałek chleba wydała mu się dziwnym dysakordem po harmonijnéj grze na cytrze i tych zamienionych spojrzeniach przy téj grze...

Dalsza rozmowa już nie szła. Machinalnie wziął podczaszyc obrazek do ręki, a przyobiecując jutro szukać na niego kupca, skłonił się i wyszedł.

Przez cały wieczór uśmiechała się babunia do swoich myśli, a Terenia skrycie płakała.

XXXIII.

Wieczor ten był także i dla podczaszyca nader nieprzyjemnym. Nachodziły go różne myśli, których nie mógł się pozbyć. Był wprawdzie przygotowany na różne dziwactwa staréj, milionowéj szambelanowéj, zapoznał się już nieco z jéj ekscentrycznemi zapatrywaniami się na świat i stosunki ludzkie, ale podobnéj rzeczy nigdy się nie spodziewał.

Dane mu polecenie, aby sprzedał obrazek na zaspokojenie najpierwszych, może jutrzejszych potrzeb do życia, odsłaniało mu i tłumaczyło niejedną zagadkę. Dawniéj myślał, że to ubóstwo jest tylko dziwactwem staréj kobiety, króra poprzysięgła nienawiść bogatemu światu, ale dzisiaj zbierała go chęć uwierzenia, że to ubóstwo było istotném!

Wiara jednak ta, kazała mu się pożegnać z nadzieją wymarzonego miliona! O tym milionie tyle słodkich

chwil przemarzył, tyle rzeczy na nim zbudował, które teraz runąć mają jak stawiane zamki na lodzie?...

Doświadczenie naucza, że człowiek pragnący czegoś gorąco, traci zdrowy pogląd i rzeczy widzi w takim świetle, w jakiém je mieć pragnie. Toż i podczaszyc nie mógł się rozstać z milionem i zbyt subtelnie wyrozumował sobie, że i to jest maską szambelanowéj, że pod tą maską ubóstwa kryje się — milion.

Bądź co bądź postanowił jeszcze nie zrywać z tym milionem i obrazek, jeśli się uda, komu sprzedać.

Daleko boleśniejszym był ten wieczór dla Bernarda.

Przez cały dzień nie mógł nic w biurze robić. Aby jednak obowiązkom swoim zadość uczynić, wziął robotę do domu, chcąc w nocy pracować. Przyobiecał nawet naczelnikowi, że jutro rano będzie miał wszystko gotowe.

Nie wiedział biedny, jak trudną będzie mu ta praca!

Wróciwszy od szambelanowéj, usiadł w swoim pokoiku i gorżko nad sobą zapłakał.

Obrazy młodości przesunęły się przed nim, jak złudne fata morgana!... Wszędzie zawód, wszędzie tylko łzy!... W domu ojczystym zawód, na polu walki zawód, w walce o życie zawód, i w sercu zawód!...

Zbliżył się do pracy, która na stole przed nim leżała, ale pióro było ciężkie jak ołów, papier oddalał się od niego gdzieś na sto mil, ręka nie mogła go dosięgnąć!... Jego myśli były na poddaszu, tam została dusza jego, a tu przyniósł tylko tułów, w którym na to serce biło, aby ten tułów mógł cierpieć, gorżko cierpieć!...

— I za cóż Bóg mnie tak karze! pytał siebie, czy dla tego, że pragnąłem zbyt wielkiego szczęścia?

I znowu brał za pióro i znowu nie mógł ręką dosięgnąć papieru, która bezwładnie upadała!...

Ale w końcu po długiéj walce zwyciężył sam siebie, aby obowiązkom swoim zadość uczynić. Praca przed nim leżąca, była jego obowiązkiem. Dotąd kładł zawsze na pierwszém miejscu obowiązek przed wszelkiemi osobistemi uczuciami. I ten obowiązek stanął mu w téj chwili żywo przed oczyma, pióro samo przyszło do ręki, papier się zbliżył...

Późno już w noc rozpoczął pracę swoją, a praca wywdzięczając się, uspokoiła go nieco. Ale na dworze już dniało!...

Otworzył okno, powitał dzień nowy, którego się lękał, aby mu nie przyniósł strasznego wyroku i wyszedł do biura. Tam pracował za trzech i jakoś dobrze mu z tém było.

Po pięciogodzinnéj pracy wyszedł, bo już drzwi zamykać zaczynano. Wszedł w tłumy ludzi na ulicy i patrzał na prawo i lewo, bo to było dla niego rozrywką. Choć na chwilę oddalało od niego myśl straszną, która rwała się na poddasze. A tam nie widział dla siebie żadnéj pociechy, żadnéj nadziei...

Przy oknie u kupca na Krakowskiem Przedmieściu stała grupa ludzi i przypatrywała się jakiemuś obrazkowi. Bernard przystanął także, spojrzał i zmieszał się. Na obrazku obaczył monogram Tereni.

— Kto przyniósł ten obrazek tutaj? zapytał zadziwionego kupca impetycznie.

— Przyniósł go do sprzedania pan podczaszyc... zapewnie na jaki cel dobroczynny! odparł kupiec.

— Co za niego?

— Może kto da... piędziesiąt złotych!

Bernard rzucił na stół pięćdziesiąt złotych i wyszedł szybko z magazynu, aby go kto nie widział. Zdawało mu się, że jest złodziejem, że przywłaszczył sobie cudzą własność... że oszukał tych, których był ten obraz...

Obraz Tereni, dany na sprzedaż, nie dziwił go wcale. Bolało go tylko, że on już dawną rolę swoją utracił. Zajął ją podczaszyc, ale jakże inaczéj wywiązał się z téj roli?... Obraz malowany przez Terenię dla marnych kilkudziesięciu złotych, dał kupcowi!... Czémże był dla niego ten obraz?

Bernard wyprostował się, bo na tym punkcie zwyciężył przeciwnika. On z takiemi ofiarami nabywał te obrazki i byłby jeszcze do większych ofiar zdolnym, aby tylko tych skarbów z rąk nie wypuszczać!...

Ale zwycięstwo jego nad przeciwnikiem odniesione widzi tylko Bóg, a ludzie nigdy go oglądać nie będą! Jakże bowiem stanąć przed ludźmi i powiedzieć im: oto ja to i to, tak i tak zrobiłem!... Czyż byłoby to szlachetnie, czy nie byłoby to podobném do owych słów Faryzeusza, który mówił do Boga: Dziękuję ci Boże, że nie jestem takim jak ów celnik!...

To zwycięstwo miało pozostać w ukryciu, tylko dało mu powód udania się na poddasze. Tam bowiem miał schowek w szufladzie dla obrazków nabytych tajemnie, do nich chciał również tajemnie i ten dołączyć. Zawinął go więc starannie, schował w zanadrze i wyszedł na poddasze.

Mieszkańcy poddasza byli przyzwyczajeni, że Bernard często do swego stolika chodził. Więc i tym razem otworzyła Anusia pokoik, w którym podczaszyca nie było, a co Bernardowi było na rękę.

Ukrywszy starannie obrazek w szufladzie, zamknął pokoik i wszedł do szambelanowéj.

Szambelanowa była ubrana jakby wyjść miała. Na stole leżało dwieście złotych.

— Dobrze żeś waćpan przyszedł, rzekła do niego, zaprowadzisz mnie do domu ubogich, bo tam ślisko na drodze. Podczaszyc był tak dobry i gdzieś między swymi sprzedał obrazek jeden za dwieście złotych. Ponieważ jeszcze dzięki Bogu tak bardzo pieniędzy nam nie trzeba, to przeznaczyłam te dwieście złotych dla ubogich, jako w rocznicę śmierci mego męża dla uproszenia Boga, o miłosierdzie dla jego grzesznéj duszy!... A ponieważ w tym czasie w roku poświęcam tydzień cały ekscercycyom nabożnym, to uwiadamiam cię, abyś przez cały tydzień do nas nie przychodził! Rozumiesz waćpan?...

— Rozumiem, odparł Bernard ze smutném wejrzeniem na Terenię.

— To podaj mi rękę! rzekła szambelanowa i oboje wyszli z pokoju.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MODLITWA.

Smutno mi Boże! Niewiem dla czego,
Same do oczu moich łzy biegą?
I pierś stłumione nadrywa łkanie?
Smutno mi Panie!

Jutro o świcie dzwon się rozbuja,
Uderzy w serca na Alleluja;
Radosném pieniem zadrży przestworze...
Mię — smutno Boże.

Panie! Tyś męką swoją krzyżową,
Świat pokalany obmył na nowo.
A dzisiaj w piersiach tyle znów brudu!
O! Panie, cudu!

O cudu, cudu! czyż czekać długo,
Aż krew na nowo pocieczе strugą?
Czy aż ofiara krwawa rozbudzi,
Upadłych ludzi?

Panie! my z rzędu tych co Twe ciernie
Nosili długo — dotrwali wiernie;
Aż kolce onych wpiły się w kości:
Panie! litości!

Już niedowiarki krzyczą przed światem,
Żeś Ty nie **ojcem** naszym lecz **katem**!
A my podnosząc pęta zabéjcze
Wołamy **ojcze**!

Tyś nas o Panie, rozdarł na troje...
Jednak nie szemrzem na sądy Twoje!
Bo jak Ty **jeden** choć w **trójosobie**,
My **jedni** w Tobie.

Nowy Izrael wśród życia puszczy,
Ku najgrawaniu rzucony tłuszczy
Idzie pokorny, cichy — bo czuje:
Bóg się zlituje.

Człowieku — Boże — Synu niewieści,
Przez wszystkie Twoje straszne boleści,
Przez Matki Twojéj bolesne noże:
Litości — Boże!

Łez nam już zbrakło — krew tryska z powiek!
I Tyś o Panie cierpiał jak człowiek,
Toć i zrozumiesz ten ból człowieczy
Co nas kaleczy.

A skoro jutro dzwon się rozbuja,
Radosnym hymnem na Alleluja,
Górować będą w akordzie tonów,
Serca milionów.

W noc wielko sobotnią, **Poznań**, 1870.

Wł. Bełza.

Uniwersytet w Królewcu.

(Z ryciną.)

W roku zeszłym daliśmy opis z wizerunkiem przedstawiającym Królewiec z najpiękniejszéj jego strony. Dziś przedstawiamy szczegół t. j. nowy gmach uniwersytetu, odznaczający się w pośród opleśniałych pokrzyżackich murów, elegancyą i nowożytną architekturą. Uniwersytet w Królewcu założony był przez Margrafa Albrechta I, księcia pruskiego w r. 1544, pod nazwiskiem **Collegium Albertinum**. W r. 1644 liczył on przeszło 2,000 uczniów a w bieżącéj epoce zaledwie 500. Pierwszym Rektorem był **Grzegorz Sarbinus**, zięć sławnego reformatora religijnego Melanchtona. Prawie bez przerwy godność tę piastowały imiona znane światu, jak **Bessel, Burdach, Fichte, Herbart, Jacobi, Kant, Lobeck, Olshausen, Rosenkrantz** i inni.

Według statystyki z r. 1866, uniwersytet liczy na czterech fakultatach 35 zwyczajnych i dziesięciu nadzwyczajnych profesorów, przytém 13 docentów. Ma on pięć klinik, ośm seminaryów, a od r. 1723 wydział dla polskich i litewskich kaznodziei. Na tym ostatnim wydziale istnieją 4 Radziwiłłowskie stypendya dla kalwinów narodowości polskiéj z zastrzeżeniem, że rozporządzalność niemi zależeć ma od najwyższéj kalwińskiéj władzy w Wilnie. Z zapisu tego do chwili śmierci Mikołaja I niemógł korzystać konsystorz kalwiński; dopiero ze wstąpieniem na tron Aleksandra II wysłano 3 młodych kalwinów, którzy chlubnie ukończywszy studya, wrócili z godnością kapłańską do rodzinnéj ziemi. Na miejsce tych przybyło dwóch nowych, ale już tylko dwóch — bo pozostałemi stypendyami inaczéj rozporządziła władza uniwersytecka.

Dziś o ile wiemy nikt z polskiéj narodowości z zapisu nie korzysta, gdyż opłakane stosunki na Litwie nie dają możności konsystorzowi wileńskiemu, uzyskania na nie aprobacyi rządu moskiewskiego.

Uniwersytet opatrzony jest we wszystkie zasoby służące różnym gałęziom nauk, jako to: Ogród botaniczny, muzeum zoologiczne, numizmatyczny i mineralogiczny gabinet, zbiór instrumentów fizycznych, galerye obrazów i rzeźby, w końcu obserwatoryum astronomiczne, położone na tak dogodném miejscu, że obserwacye z niego objąć mogą cały horyzont. Biblioteka uniwersytecka, połączona z biblioteką zamkową i miejską, wraz z legatem księgozbioru dyrektora gimnazyum Gottholda, wynosi 220,000 tomów; prócz tego zawiera wielką ilość rękopismów, inkunablów i miedziorytów starych.

Pomimo że tradycye nasze więcéj się łączą z Królewcem, niż z innemi stolicami państwa pruskiego, uniwersytet tam jednak nie licznie przez Polaków jest uczęszczany. Główny kontingens młodzieży uczącéj się pochodzi z Prus Wschodnich, gdzie narzecze ludowe jest w części mazurskie, w części litewskie. Odrębność pochodzenia uwydatnia się na uniwersytecie stowarzyszeniami, tak zwanemi **mazurskie, litewskie i nie-**



Uniwersytet w Królewcu.

miecki e. Niestety główna ich różnica zasadza się tylko na różnych kolorach czapek i wstęg korporacyjnych. Innych cech wyróżniających pochodzenie już się tam nie dostrzega; nawet język ojczysty utonął w fali germanizmu. Kilkunastu Polaków z Królestwa i Księstwa są jedyną reprezentacyą polskości, po za niemi nie tylko w uniwersytecie, ale nawet w całem mieście prócz nazwisk nic na sobie polskości nie nosi cechy.

Dla badaczy dziejów przeszłości naszéj Królewiec dostarczyć może wielką i bardzo cenną ilość materyałów. Prócz pana Kętrzyńskiego nich z nich dotąd zdaje się nie korzystał.

Czarna śmierć w Polsce

przez Dr. **Z.**

Były chwile w dziejach ludzkości, gdzie się zdawało, jakoby Opatrzność postanowiła wytępić żyjące pokolenie, by na jego trupie świeżo wyrosłe do nowych powołać przeznaczeń.

Takiém krwawém narzędziem w ręku historyi bywały ogólne zarazy i pomór. Przestrach i powszechna żałoba towarzyszą im, nieustraszeni popadają w rozpacz na widok nieszczęścia, które z wszelkiéj pomocy ludzkiéj urągać się zdaje. W głębokie mogiły strąca swe ofiary strasznéj śmierci widziadło — a gdy ich ziemia w swém łonie pomieścić nie może, wodne odchłanie grobami się stają.

Taki obraz przedstawia Europa w czasie, kiedy główną plagę średniowiecznego społeczeństwa stanowiła „czarna śmierć,“ zwana także „czarną zarazą,“ dla tego, że na ciele dotkniętych tą chorobą obok innych dolegliwości okazywały się złowrogie czarne plamy. O strasznéj téj chorobie opowiadają kroniki wszystkich prawie narodów. Początek jéj odnosi podanie w odległy wschód Azyi, gdzie pod panowaniem cesarza Chun-Ti trzynaście milionów ludzi śmierć znaleść miało. Z krajów Europy najpierwszych ciosów czarnéj zarazy doznała Sycylia, Grecya, Sardynia i Korsyka. Następnie nawiedza Włochy, Hiszpanię i Francyę, równocześnie przechodząc do Anglii i Dalmacyi. Z tych punktów napada na Niemcy, z Anglii na Szwecyę, Norwegię i Holsztyn. Z południa i północy oba pochody stykają się w północnych Niemczech, gdy równocześnie we wschodnim kierunku Węgry, Czechy, Rosya i Polska ulegają zapowietrzeniu.

Zniszczenia przez czarną śmierć w wieku XIV dokonane są bezprzykładne w dziejach chorób zaraźliwych: niektóre okolice straciły trzecią część, połowę, a nawet i więcéj swojéj ludności. W Babilonie miało umrzeć w przeciągu trzech miesięcy 480,000 ludzi. Z krajów europejskich największemu spustoszeniu uległy Włochy: kraj ten stracił połowę ludności w saméj Padwie wymarło dwie trzecie mieszkańców. Podług hiszpańskich dziejopisów od potopu świata nie było tak wielkiéj śmiertelności: kraj w pustynię zamieniony, kościoły sterczą ruiną, bo nikt się o nie nie troszczy. W niektórych miejscach Francyi zaledwie dziesiąta część mieszkańców zostaje przy życiu, a mniejsze osady całkiem wymierają. W Niemczech 200,000 wiosek miało uledz zupełnemu wyludnieniu; samych zakonników wymarło 124,000. Okropny obraz przedstawia miasto Awinion; na groby zabrakło już ziemi, a mnogie ofiary śmierci pochłania rzeka Rodan, ręką ówczesnego papieża Klemensa VI na ten cel uroczyście poświęcona.

W tym smutnym dramacie i Polska niepośledinią odegrała rolę; krwawe jéj dzieje, mieczem pisane, powleka czarny całun żałoby po tysiącach ofiar, straszną zarazą z jéj łona wyrwanych. Czarna śmierć dostała się do nas w r. 1349 i trwała przez 7 miesięcy, a była tak gwałtowną, iż chorzy umierali w przeciągu trzech a najdaléj siedmiu dni. Toruń utracił w ówczas 4621, Elbląg 7092, a Gdańsk 17,665 mieszkanców. Od r. 1349 czarna śmierć panowała w Polsce prawie nieprzerwanie, mniéj stosunkowo porywając ofiar, aż wreszcie r. 1360 z taką wystąpiła srogością, iż sam Kraków, według Długosza i Bielskiego, stracił 20 tysięcy mieszkańców; profesorowie wraz z uczniami akademii krakowskiéj wynoszą się z miasta, kraj cały zamienia się w pustynię, gdyż połowa ludności wymarła, reszta zaś ze strachu opuszcza miasta i wsie, po lasach i pustkowiach szukając schronienia przed srogością zarazy.

Skądby się czarna śmierć do nas dostała — z pewnością nie wiadomo; jedni utrzymują, że z Węgier, drudzy, że z Węgier i Czech. To wszakże pewno, że niepowstrzymanemu pochodowi téj strasznéj w dziejach świata zarazy wszystkie drogi do Polski stały otworem. I tak prowadziliśmy w ówczas handel z całą prawie Europą w trzech głównych kierunkach zagranicznych. Ku Baltykowi główny polski gościniec stanowiła Wisła: jeszcze w wieku XVI miewała kupiecka rodzina krakowskich Fuggerów po sześćdziesiąt kilka okrętów z handlem na brzegach gdańskich. Również żwawy ruch handlowy łączył nas ze wschodem. Tu jedna droga prowadziła od Poznania ku Włodzimierzowi wołyńskiemu, druga od Krakowa na Lwów ku morzu Czarnemu. Tymto traktem szedł głównie handel niemiecki na Ruś. Ze Lwowa zaś jeden trakt prowadził do Carogrodu, drugi dążył Podolem, ziemią tatarską ku Czarnomorzu. Osobliwie ten tatarski gościniec łączący nas pośrednio z Indyami, Chinami i małą Azyą był dla polskich kupców nader pożądany.

Przy tak rozległych stosunkach handlowych, gromadzących w kraju mnóstwo ludzi obcych, jakże łatwo było sprowadzić zarazę i roznieść ją temi samemi drogami, kędy poprzednio płynął dobrobyt! Wszakże i dziś tak samo się dzieje: spławne rzeki i koleje żelazne jak z jednéj strony prowadzą bogactwo i oświatę, tak z drugiéj stanowią gościńce, któremi się rozchodzi zabójcza zaraza naszych czasów, cholera.

Do rozszerzania czarnéj śmierci u nas przyczyniły się nie mało także ustawiczne napady tatarskie, które od czasów Bolesława Wstydliwego tak często Polskę nawiedzając, nie tylko biedę jéj przynosiły, ogniem i mieczem pustosząc miasta, a w pustki zamieniając urodzajne łany, ale nadto dzika orda przynosiła nam choroby z pod południowego i wschodniego nieba.

Mówiąc o napadach nieprzyjacielskich na otwarte zewsząd granice kraju, niepodobna pominąć jednego ze skutków, jaki za sobą pociągnąć musiało ciągłe niepokojenie rolniczéj ludności, odrywanie jéj od zatrudnienia, pędzenie w jassyr i wyludnianie kraju. Stąd owe głody, naszą bogatą ziemię niegdyś tak czesto nawiedzające. Przytoczymy kilka przykładów. W r. 1282 i 83 panowało morowe powietrze i tak wielki głód, że matki swe własne dzieci pożerały, mieszkańcy do Węgier i na Ruś uciekali — lecz — jak mówią kronikarze — zamiast znaleść posilenie, barbarzyńskim narodom sprzedani zostali. Roku 1319 głód przez kilka lat poprzednich trwający do tego stopnia doszedł, że nie tylko rodzice dzieci i dzieci rodziców dla zaspokojenia głodu zabijały, lecz nawet, według podania Stryjkowskiego, trupami się karmiono. Roku 1438 zima trwała od św. Michała do św. Grzegorza, a chleb robiono z liści tartych i jemioły. Nic więc dziwnego, że ludność w takich warunkach żyjącą, choroba dziesiątkuje, jak to i za naszych czasów, codziennie stwierdza doświadczenie. Cholera i tyfus nawiedzają i dziś okolice głodem dotknięte, tak jak niegdyś czarna śmierć.

Niepodobna nam tu także pominąć nieprzyjaznych

zjawisk przyrody, które owemi czasy nie tylko w Polsce, lecz i w innych krajach Europy przyczyniały się do rozwoju zarazy. Do tych liczymy częste deszcze ulewne, susze, wylewy wód, nadzwyczaj ostre zimy, a wreszcie szarańczę, wroga, godnego z Tatarem iść w porównanie. Gęstość rojów tego owadu była tak wielka, że słońce ledwo je przenikało; lecąc, jakby obłok jaki zasłaniała niebo, gdzie usiadła zajmowała przestrzeń 3 mil w dłuż, a 1 1/2 w szerz.

Przedstawiwszy pokrótce stosunki, jakich się Polska czynnym udziałem w życiu ludów europejskich tak troskliwie dorabiała, ściągając na siebie z jednéj strony korzyści, z drugiéj nieszczęścia i klęski, rzućmy wreszcie okiem na zewnętrzną postać (topografię) kraju naszego w tych dawnych czasach. Górzysta Małopolska szumiała nieprzebytemi lasy, niższa i po dziś dzień jeszcze jeziorzysta Wielkopolska tonęła w wodach. Tradycya ludowa i dziś jeszcze mówi, że morze sięgało aż po Grudziądz; przeszło 2000 jezior pokrywało szczupłą przestrzeń Prus krzyżackich. Pierwiastkowa zaś rozległość jezior była daleko większa Gopło naprzykład, którego diugość dziś wynosi zaledwie milę, za czasów Jagiellońskich 5 mil w dłuż sięgało. Kruświcka okolica była wyspą, a Gopło punktem łączącym Wisłę z Wartą i morzem Baltyckiem. „Błotniste okolice podoba sobie mieszkaniec słowiański“ — mówi K. Szajnocha — lecz przyzna każdy, iż jak się szczęśliwym czuł i bezpiecznym w bagnistych twierdzach swoich, tak z drugiéj strony niezdrowe wyziewy bagien i lasów, wilgotne powietrze, którym oddychał, były dlań nader zabójczemi w dniach zaraźliwego powietrza i moru.

Tak tedy widzimy, iż badając przyczyny i warunki, wśród jakich Polskę nawiedzała czarna śmierć, przychodzimy do tego przekonania, że acz u kronikarzy naszych, którzy o tém pisali, napróżno szukamy wyjaśnień co do przyczyn moru, przecież z niektórych zdarzeń dziejowych, stosunków miejscowości, a wreszcie z pewnych zjawisk przyrody wnioskować możemy skutki, jakie za sobą pociągnąć mogły lub musiały. A lekarzom tamtoczesnym za złe brać nie możemy, gdy badając źródło zarazy prawią o gniewie bożym, o nieprzyjaznych konstelacyach gwiazd, o trzęsieniu ziemi, o meteorach i tym podobnych zjawiskach przyrody, w mniemanym związku z zarazą będących. Zdania ich są wyrazem ducha czasu, w którym żyli, myśmy zaś prawdy szukali tam, gdzie nam się według dzisiejszych pojęć bliższą być wydawała.

Wstrząśnienia i zamieszanie wywołane tak okropném nieszczęściem, jakiém była czarna śmierć, nie mogły pozostać bez wpływu na społeczne stosunki ludów. Winę klęski zwalono na Żydów i najokropniejszém prześladowaniem ścigać ich poczęto. Południowe mianowicie Niemcy, Nadreńskie prowincye i Szwajcarya przedstawiają straszny widok ciemięstwa, popełnianego na nieszczęśliwym narodzie żydowskim. W Norymberdze wymordowano 100 000 Żydów; w Bazylei spalono wszystkich izraelskich mieszkańców w szopie osobno na ten cel zbudowanéj. Cesarz niemiecki Karol wydał Żydów miasta Worms obywatelom na pastwę, a tłumy, do jednego wymordowawszy nieszczęśliwych, dzieliły się ich dobytkiem. W Moguncyi 12,000 Żydów dobrowolną śmiercią w własnych domach zginęło.

W obec przerażającego widoku okrucieństw, gdzieindziéj popełnianych, dzieje nasze pod koniec czasów Piastowskich, a w początku Jagiellońskich jaśnieją dziwną pogodą tolerancyi względem napływowego pierwiastku żydowskiego. Trudno uwierzyć, aby już w owym czasie, kiedy Kazimierz Wielki prześladowanym zewsząd Żydom co dopiero gościnne Polski otworzył bramy, okrucieństwa gdzieindziéj na Żydach dokonywane i w Polsce spotykać ich miały. A przecież Dlugosz przy opisie czarnéj śmierci 1349 i 1360 r. tak się wyraża:

„Ponieważ sądzili, że (zaraza) powstawała z przyczyny Żydów, truciznami powietrze zaprawiających, przeto tychże w bardzo wielu miejscach wymordowano, spalono, wieszano; inni uszedłszy rąk chrześciańskich, siebie, żony, synów, córki i krewnych zabijali...“

W późniejszych czasach mamy już niezbite dowody na to, że i u nas Żydzi dotkliwie byli prześladowani, choć prawo najzupełniejszą gwarantowało im swobodę. Ciemny tłum atoli sądził, że to Żydzi powietrze zabójczemi napełniają wyziewami, zatruwają studnie po siołach i miastach, a na życie chrześcian nastając, sami znanemi sobie czarami ratować się umieją. W fanatycznych tych oskarzeniach chyba tyle było prawdy, że przenikliwi Żydzi w wysokiéj troskliwości o zdrowie mogli mieć pewne przed chrześcianami korzyści. Wiadomo zresztą, że polscy Żydzi posiadali już bardzo dawno pomiędzy sobą biegłych w swéj sztuce lekarzy, na których nawet chrześciańscy ich koledzy zazdrosném spoglądali okiem.

Z fałszywego pojęcia o źródle choroby, fałszywe zwykle wynikają środki obrony od téjże. A ponieważ w średnich wiekach w gniewie bożym upatrywano przyczynę zarazy, dla tego téż już w r. 1260 widzimy włoskiego pustelnika Rainera na czele tłumów przebiegających wsie i miasta z głośném wzywaniem do pokuty. W ten sposób powstała sekta tak zwanych biczowników (flagellantes), którzy się wkrótce także pojawili w Polsce, lecz arcybiskup Janusz i Prandota, biskup krakowski, wypędzili ich z kraju. Nadszedł okropny dla Polski rok 1349. Na poły nadzy, z czerwonym krzyżem na plecach, z zasłoniętą twarzą snują się znów biczownicy po opustoszałych Polski dziedzinach; krew tryska pod razami chłost, które sobie nawzajem zadają, ich przybycie ogłasza uroczysty głos dzwonów i modlitwa przeciw morowéj zarazie. Bezwstyd, gwałty i napaści nie mogły się ukryć pod pokutniczemi wory, a próżniactwo roboczéj klasy ludu zagroziło krajowi powszechną klęską. Klątwa z Watykanu i za nią idące prześladowanie rozprasza wreszcie tę sektę, któréj dzieje wymownym są dowodem, jak głęboko wstrząsły duchem tamtoczesnéj ludzkości nieszczęścia czarną śmiercią wywołane.

Zastanowiwszy się nad skutkami morowéj zarazy, wspomnijmy pokrótce o środkach, jakich ówcześni używali do poskromienia klęski. Lekarze robili co było w ich mocy: zalecali puszczanie krwi, opatrywanie bolączek, okadzanie istotami żywicznemi, wdychanie saletry itd. Lecz wszystkie te środki nie na wiele się przydawały. Lekarze zaś sami, aby się o ile możności od wpływu zarazy zabezpieczyć odziewali się długiemi od stóp do głów sięgającemi sukniami z płótna woskowego z kapturem, na twarz zaś wkładali maski ze szkłami na oczy i dzióbem z przodu, napełnionym pachnidłami. A ponieważ ludzie owemi czasy tak na duchu upadli, że rodzice obawiali się dzieci, a dzieci opuszczały rodziców chorobą dotkniętych, przeto ówczesny papież, aby zachęcić ludzi do niesienia pomocy chorym, nadawał odpusty tym wszystkim, którzy zarażonych pielęgnowali, a nawet wszystkim zarażonym. O władzach policyjno-lekarskich mało co wtenczas wiedziano. Atoli w Wenecyi już w owym strasznym roku 1348 znajdujemy trzech radzców zdrowia (Proreditori di sanità). U nas podobna instytucya nastała prawdopodobnie po raz pierwszy dopiero za Zygmunta III. Z biegiem czasu widzimy téż co raz większy współudział tak obywatelstwa jak i władz rządowych i duchownych w obmyślaniu środków przeciwmorowych. Zapowietrzonych odosobniano, wyprowadzając ich za miasto i tam w osobnych szopach kosztem publicznym żywiono i obsługiwano. Urzędowe zamykanie domów ściśle było przestrzegane; rzeczy ludzi zapowietrzonych, a zdaje się nawet, że i domy niektóre palono. Służbę publiczną składali grabarze, którzy zmarłych na zarazę po ulicach i gnojach

zbierając po poprzedniem zrewidowaniu, chować byli obowiązani, wszelako nie w kościołach ani na cmentarzach.

Słabe to wprawdzie były środki przedsiębrane z urzędu celem poskromienia tak zjadliwéj choroby, lecz uwzględnić należy, że poznanie najwyższego zadania sztuki lekarskiéj, zadania społecznego, nie mogło być dziełem owych czasów, które się duchowéj wolności dopiero dobijać musiały.

ROZMAITOŚCI.

(Zoilus.) Z nazwiskiem Zoilus często spotykamy się tak w mowie potocznéj, jak też w pisanéj. Wszyscy go powtarzają, nie wiedząc nie raz znaczenia i historyi tego złośliwego tytułu.

Wiadomo że w Grecyi był złośliwy wierszopisarz Zoil, który ostrą i zjadliwą krytykę napisał na Homera i tę odczytał królowi Ptolomeuszowi, w nadziei uzyskania łaski monarszéj. Król zgniewem słuchał zarzutów wielkiemu poecie narodowemu czynionych, ale słowa nie odrzekł. Gdy niedługo Zoil niedostatkiem przyciśniony, błagał go o wsparcie, Ptolomeusz mu odrzekł: „Homer, który przed tysiącem lat umarł, jednak po śmierci mnóstwo ludzi swoją poezyą karmi; przeto i ty, gdy się nad niego uczeńszym mienisz sam siebie pożyw.“ Póżniéj za rodzicobójstwo skazany, wyrokiem króla na szubienicy zakończył życie.

Ten to Zoil unas zwany Zoilusem, stał się godłem zazdrosnego krytyka. W pierwiastkach literatury narodowo-polskiéj, w owym wieku zwanym złotym, nieznano go wcale. Wszyscy pisarze z owéj epoki, jak: Rej z Nagłowic, Jan Kochanowski, Marcin Bielski, Łukasz Górnicki, Bartosz Paprocki, Skarga i Fabian Birkowski nieznają go wcale. Zjawia się on w końcu XVI i w początkach XVII wieku; przy upadku prawdziwéj oświaty i nauki, mierność go z pyłu zapomnienia starożytnego świata wydobyła. Ćma lichych pustot, co je na setki rachować można, natchnęła sztucznem życiem Zoilusa, jak widmo straszne, w niczem niepodobne do prawdziwego Zoila. Ci to pismacy w XVII wieku, okradając niemiłosiernie Wielkiego śpiewaka Czarnolesia i nieraz całe pieśni lub obszerne ustępy z jego poematów za swoje drukując, wyroili sobie potwór Zoilusa w postaci dziwnéj, opisując go jakoby miał łeb lisi, pysk psi, zęby czarne, kły do tego ostre. W tak ohydnym wizerunku ci nieprawi synowie Apollina podali nam wraz ze swoją klątwą biednego Zoilusa, co przez lat dwieście z górą nie mógł się zestarzeć, i zachował zęby zawsze zdrowe i ostre do kąsania. Tysiąc dzieł zachowało jego imię. Weźmy na oślep jakąkolwiek książkę z XVII wieku po tytule, po herbie i wierszach na ten klejnot szlachecki po przypisaniu jakiemu Jaśnie Wielmożnemu lub Wielmożnemu Panu, na samym końcu pewno spotkasz się z biednym Zoilusem. Przeciwko to niemu, jako symbolowi krytyka zazdrosnego, wszyscy rzucali słowa zniewagi i klątwy. Zdaje się, że był przywiązany do najsmutniéjszych okresów literatury naszéj, bo przy wzroście oświaty i nauk, zniknął bez śladu pomiędzy r. 1760 a 1780. Konał zwolna przez lat dwadzieścia, unieśmiertelniwszy imię swoje we wszystkich niemal dziełach polskich i łacińskich, jakie u nas drukowano przez dwa prawie wieki.

K. Wł. W.

(Nowa teorya o znaczeniu kobiét). Jedną z najgorliwszych kapłanek i obronicielek zupełnéj emancypacyi kobiét w północnéj Ameryce jest niejaka Elżbieta Farnham w Nowym Yorku. Wyobrażenia jéj o godności i prawach kobiéty tak są dziwaczne, że u nas mogłyby ją wprost zaprowadzić do czubków. Już w r. 1841 miewała ona jakieś objawienia i prorocze widzenia, mające świadczyć o boskich prawach i godności kobiéty; ale ponieważ właśnie wtedy zdarzyło się jéj pójść za mąż, więc zdaje się, że powaga małżonka musiała wyleczyć ją tymczasowo z urojeń o boskości jéj stanowiska. Przynajmniéj żyła przez kilkanaście lat spokojnie i rozsądnie w kole rodzinném; nieszczęściem jednak odumarli ją mąż i dzieci, i w tém osamotnieniu opętał ją z próżniactwa znowu dawny szał proroczy. I oto w najnowszych czasach wystąpiła szanowna wdowa na nowo z mniemaném objawieniem o doskonałości i wyższém przeznaczeniu kobiéty. Podług niéj zachodzi między mężczyzną a kobiétą taki stosunek, jak między orangutangiem a człowiekiem. Przewaga kobiéty jest zupełna, tkwi ona w mózgu, w sercu i w delikatniejszéj tkance nerwów. Kobiéta stoi w pośrodku między człowiekiem i aniołem. A dla czego? Bo jéj ciało jest delikatniejsze i piękniejsze, a nadto bogatsze o jeden organ, mianowicie organ pokarmowy; zatém znajduje się kobiéta widocznie już w stadyum przejścia do wyższéj klasy istot. Gdy mężczyzna w drodze rozumu pojmuje naturę całkiem materyalnie, zbiera daty i fakta, rozróżnia przyczyny i skutki, na podstawie harmonii układa prawa: — nie potrzebuje kobiéta żadnéj zgoła metody, jéj przywilejem jest bezpośrednie widzenie rzeczy, nieomylne uczucie. Jedno spojrzenie, jedno poczucie odkrywa jéj to, co rozum mężczyzny przerabia mozolnie po trosze i przez długie lata. Rozum ma swoją dobrą stronę; mężczyzna potrzebuje go, ażeby pokonywać ziemię w usługach kobiéty, istoty wyższéj, szafarki miłości, radości i szczęścia. Zadaniem zaś kobiéty jest, obcować z Bogiem, upiększać i uświęcać życie, używać itd. W takim duchu apostołuje szanowna wdowa Elżbieta Farnham, a czytelnik poznał już zapewne z tego, że przysłowie o długich włosach a krótkim rozumie znajduje u niéj najzupełniejsze potwierdzenie.

(Rękawka.) Mało jest miast w Polsce, któreby w łonie swojem pielęgnowały tyle zabytków przeszłości, ile Kraków. U nas pył obczyzny z dniem każdym grubiéj okrywa cechy narodowe — które tem droższemi być winne im silniéj wydrzeć nam je pragną. Trzy mogiły sterczą po nad Wisłą dokoła Krakowa; prędzéj on w gruzach legnie, aniżeli potęga czasu zrówna z ziemią te niebotyczne pomniki. Wszystkie trzy należałoby zwiedzić; tymczasem pójdź zemną czytelniku, zaprowadzę Cię na jedną z nich... na najstarszą. Oto wiosna zaledwie pierwsze zaczęła stawiać kroki; wschodni wietrzyk ostrzega chłodnym podmuchem, że tchnienie mrozu może zabić jéj najrańsze dziatki... pierwiosnki.

Na pochyłościach krzemionek, w rozpadlinach skał bielą się jeszcze gdzieniegdzie śniegi; dno Twardowskiego katedry pokrywa jeszcze biały, poszarpany całun, święta wielkanocne kończą się. Trzecia doba upływa jak dzwony 40tu świątyń Krakowa ogłosiły doroczną pamiątkę zmartwychstania Chrystusowego. Wesołe tłumy spieszą stromemi dróżynami na szczyt góry, gdzie na krańcu bieleją białe ściany kościoła św. Benedykta. Ztąd o kilkaset kroków sterczy wysoka mogiła. Kiedy powstała? kto ją usypał i w jakim celu? pytaj nie ksiąg starych, ale podania ludu.

Ono Ci powie jak przed laty w pieczarach Wawelu żył smok, który dokoła spustoszenie szerzył i najdorodniejszą dziatwę krakowską pożerał; ono ci powie jak na ówczas Krakus, książę czuły na skargi ludu, podrzucił barana napełnionego zapaloną siarką i żywicą. Ryczał z wielkiego bolu straszliwy potwor i wypił połowę wody z Wisły a żaru nie ugasił, aż nakoniec zdechł, rozciągnąwszy cielsko u podnóża góry. Wtedy to lud umiłował sercem swego wybawcę a kiedy umarł, usypał mu mogiłę na 30 łokci wysoką. Nie taczki ani wozy tę ziemię znosiły, ale zarówno stary i młody, mąż i niewiasta nosili ją w swych rękach, a kto miał szerokie rękawy, w rękawach. I nazwano ją ku pamięci potomków Rękawką. Po ukończeniu mogiły Krakusa starsi i zamożniejsi uczęstowali lud biedny pochyłość góry zalegający.

Od tego czasu spieszą co rok Krakowianie oddawać hołd miejscu, gdzie ich dziadowie żal swój zagrzebali. Nie kilka to gromadek ani kilkadziesiąt, ale niezliczone tłumy ciągną na wierzchołek krzemionek, obchodzić lubą pamiątkę od dziecinnych lat ukochaną.

Uroczystość rękawkowa jest pewnego rodzaju jarmarkiem na orzechy, jabłka, ciastka, kolacze, cukierki, figi, daktyle, wózki, łóżeczka, stoliczki; białe siekierki gliniane dzwoneczki — czyli jednym słowem jest to jarmak na wszystko to co służy na użytek lub pociechę wieku dziecinnego Scylla to i Charybda dla dzieci. Ale nie same dzieci korzystają z tych bogactw obficie nagromadzonych, dorośli najwięcéj kupują.

Jeżeli wierzyć można rozpowiadaniom starych i żywéj tradycyi ludu, dwanaście wieków trwa już obchód rękawki. Być może, że niegdyś świetniéj się odbywała, ale nie serdeczniéj.

Szarada.

Pierwsze litera wspak —
Drugie litera wspak,
Jak trzecie wspak jest cały:
W nauce — miłości — i silnéj woli.
Obojętny wśród chwały,
Nie złamany losem — silny w niedoli.

(Rozwiązanie zadania głoskowego w nr. 18.: ***Karta — Marta Warta.***

Korespondencya Redakcyi.

Panu J. M. w Berlinie. Odpowiedź naszą listownie zakomunikujemy. Panu Dr. Pr. w Gnieźnie. Wieszcz nasz powiedział: „Zgińcie me pieśni — wstańcie czyny moje.“ Oby starożytny gród Piasta, natchnienia Panu chciał dodać. Panu J. Na. w Krakowie. Raz jeszcze przypominamy się.